Nr. 9. We Lwowie dnia 28. lutego 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Kartki naukowe.

II.

Treść: Wynalazek leczenia dżumy. — Wpływ napojów wyskokowych na społeczeństwo i przyszłe pokolenia. — Tępienie myszy i szczurów za pomocą metody p. Danysza.

Wobec grożącej Europie dżumy azjatyckiej, uważamy za właściwe podzielić się z czytelnikami wiadomością, iż lekarz francuski Yversin wynalazł, jak donoszą dzienniki, sposób leczenia tej najstraszniejszej z chorób, na którą dotychczas nie znano żadnego lekarstwa. Pierwsze próby leczenia dokonane zostały w Chinach, a ponieważ są pomyślne, dają więc dobre wróżby na przyszłość. Yversin leczy dżumę surowicą, pochodzącą ze krwi koni, odpowiednio do tego przygotowanych. Zaraz na wstępie zaznaczyć musimy, iż dżuma, podobnie jak wiele innych chorób zakaźnych, pochodzi od mikrobów, które w wielkiej ilości dostawszy się do krwi rozkład w niej sprawiają. Otóż Yversin zebrał pewną ilość mikroba dżumy, hodował go, rozmnażał go w swem laboratorjum w odpowiednich płynach — słowem, jak się mówi, zajął się k u l t u r ą dżumy. Przez takie sztuczne hodowanie mikrobów poznają się ich własności, a zatem poznaje się wroga, z którym walczyć zamierzamy. Następnie Yversin zastrzyknął koniowi pod skórę niezmiernie maluczką dawkę mikrobów dżumy. Koń dostał gorączki i schudł ogromnie. Trzeba było czekać cały miesiąc, aby się poprawił. Wówczas zastrzyknięto mu drugą dawkę i znowu nastąpiła miesięczna przerwa. Tak powtarzano zastrzykiwania co miesiąca, zwiększając dawki kultury. Tym sposobem doprowadzono konia powoli do tego, że znosił już znaczne dawki dżumy i nie chorował. Stał się więc o d p o r n y na dżumę.

Z takiego konia Yversin utoczył nieco krwi, oddzielił surowicę i zastrzykiwał tę surowicę myszom i szczurom, dotkniętym dżumą. Zobaczył wówczas z zadowoleniem, że te zwierzęta powracały do zdrowia. Wówczas lekarz francuski postanowił spróbować swej kultury na ludziach. Pojechał tedy zeszłego lata do Chin, do miasta Amoy, gdzie wówczas panowała ta epidemja. Tu dozwolono mu robić próby w szpitalach, co było dowodem łaski, gdyż Chińczycy zwykle wrogo odnoszą się do lekarzy europejskich. Yversin próbował swej surowicy na 23 chorych, z których 21 wyleczył. Niestety, zabrakło mu surowicy i musiał wrócić do swego laboratorjum.

Lecz wieść o cudownem leczeniu szybko obiegła miasto; ludność nie chciała puścić lekarza, obsypała go podarunkami, których wszakże nie przyjął, czem wzbudził jeszcze większy entuzjazm. Urządzono wreszcie na jego cześć „fajerwerki" i z tryumfem odprowadzono do statku. Gazeta miejscowa nazywa Yversina n o w y m H o d - t'o; jestto imię znakomitego lekarza, który żył w Chinach dwa tysiące lat temu, a na cześć jego wystawiono liczne świątynie.

Tak lekarze silą się na wynajdywanie coraz to nowych środków leczniczych, a społeczeństwo tymczasowo niszczy zdrowie nietylko swoje, ale zarazem zdrowie i szczęście przyszłych pokoleń. Pewnym środkiem, do tej zguby prowadzącym, są napoje wyskokowe, których użycie rozpowszechnia się coraz więcej we wszystkich krajach. Jest to już bowiem rzeczą dowiedzioną przez licznych hygienistów, lekarzy i chemików, iż użyciu napojów spirytusowych przypisać należy zastraszające postępy gruźlicy, rachityzmu, wzrastającą liczbę warjatów i kryminalistów, a także większość chorób nerwowych, trapiących nasze społeczeństwo. Alkohol prowadzi do zwyrodnienia fizycznego, moralnego i umysłowego jednostki i cały rodzaj ludzki. Nie sądźmy jednak, iż tylko nadmierne używanie napojów wyskokowych wydaje tak opłakane rezultaty. Każdy kieliszek koniaku, absyntu, wermutu, piołunówki itp. płynów, zawiera sporą dawkę trucizn, które nie pozostaną bez wpływu na organizm. Jeżeli używać codziennie jeden

chociażby kieliszek którego z tych napojów, ilość ta wystarcza, aby u wielu osób rozwinęły się wyraźne objawy alkoholizmu, to jest zatrucia się spirytusem. Należy bowiem robić ścisłą różnicę pomiędzy alkoholizmem i pijaństwem. Bywają alkoholicy, którzy nigdy się nie upijają, nigdy nie robią nadużyć w piciu, a jednak mały kieliszek napoju stale codziennie używanego rozwija u nich zatrucie. Trujące własności napojów wyskokowych pochodzą głównie stąd, że płyny te są źle oczyszczane. Czysty alkohol winny, jakkolwiek trujący, jest jednak najmniej szkodliwy ze wszystkich napojów wyskokowych; ale znikł on zupełnie prawie w handlu; natomiast najgorszego gatunku wódka przerabia się na likiery i koniaki pierwszej jakoby marki, przez dodanie do wódki rozmaitych wonnych przypraw; utajona tym sposobem trucizna jest tem zdradliwszą, iż znajduje mnóstwo łatwowiernych, szukających wzmocnienia w tym zabójczym płynie.

* * *

Rolnicy wiedzą dobrze, jaką plagą w gospodarstwie są myszy i szczury, niszczące najpiękniejsze plony nietylko w polu, ale i w magazynach. Nauka nic dotychczas wynaleźć nie mogła na tych szkodników. Jedynie wybuchająca między nimi od czasu do czasu śmiertelna epidemja zmniejszała liczbę tych gryzoniów. Teraz jednak można będzie sprowadzać między temi zwierzętami sztuczną epidemję, dzięki wynalazkowi rodaka naszego, p. Danysza z Instytutu Pasteura. Danysz hodował pewnego mikroba, który znajduje się zawsze u myszy i szczurów, zmarłych w czasie epidemji naturalnej, a gdy zdołał otrzymać kulturę wielce jadowitą, to spróbował truć nią myszy oraz szczury i udało mu się to znakomicie. Rodak nasz macza w kulturze drobne kawałeczki chleba i rozrzuca takowe koło zwierząt. Po kilku dniach następuje śmiertelność ogromna, a ponieważ żywi pożerają zmarłych, przeto epidemja szerzy się szybko.

Doświadczenie dokonanem zostało na polu, mającem 150 hektarów obszaru. Gdy po 10 dniach urzędowa komisja w towarzystwie kilku uczonych przybyła na miejsce doświadczeń, to przekonała się, że gryzonie zostały na tym obszarze w zupełności wytępione, chociaż na sąsiednich polach były one tak liczne, że napotykano po 40 nor na metrze kwadratowym. Rolnicy mogą obecnie zwracać się do Instytutu Pasteura w Paryżu, gdzie za małą opłatą otrzymają we flaszeczkach kulturę mikroba, szerzącego epidemję między szkodliwemi gryzoniami, a nie będącym bynajmniej szkodliwym dla zwierząt domowych.

Dr. M. Stefanowska.

W zimową burzę

(Gawęda przy kominku).

(Ciąg dalszy).

— Chodził, jakże. Blisko trzy lata chodził. Ale teraz — paniczka moja, czy to można chłopu myśleć o książce? Jak poszedł orać, a kopać, a włóczyć, tak musi zapomniał wszystkiego.

DOKTÓR JAN.

(Ciąg dalszy).

— Ustąp że się, mówię mu. Czego ludzi rozpychasz, fartuch masz zasmolony... Ale on jest strasznie hardy.

— A cóż to mam ustępować, mówi głośno, niech będzie tylko czysta robota na świecie, to i ja się nie usmolę. Mam brudny fartuch, to każdy wie, że cały dzień pracowałem, a te lale, co tylko laseczką o bruk stukają, to co warte? Aj! Jakóbie, patrzysz na świat, a nic nie widzisz. Czyste masz sumienie, co?

— No, jużcić każdy człowiek grzeszy, ale żebym teraz co złego o sobie wiedział — to nie!

— To wal prosto przed siebie. — I tak zaszliśmy do jednego znajomego sklepu, kupiłem czapkę, a potem Rodek do mnie mówi:

— Chodźmy na piwo, mam ja tu przy sobie coś nowego, co mądrzy bracia wydrukowali, ja ci wiele opowiem, to ty zrozumiesz jak człowiek żyje, a jak żyć powinien.

— Ach, panie doktorze! Z tego, co on mówił, to mnie taki żal i złość porwały, że zacząłem pić wódkę i piwo i co tam było. We łbie mi szumiało, a wtedy taką mam siłę, że mógłbym chyba ten most na Wiśle roznieść i broń Chryste, człowieka w dwóch palcach zdusić. Gdy powróciłem do domu, żona w krzyk: — a ty gałganie! A ty taki, owaki... takem ją zbił... Ja jej na trzeźwo ani tknę, — dodał ciszej.

— Więc lepiej ci żyć po wódce?

Pokiwał głową.

— Gdzie tam. Na drugi dzień, to powiesiłbym się, albo utopił.

Doktór zamyślonym wzrokiem patrzył na Wąsala. W poczekalni tymczasem wzmagał się gwar rozmów, obudziło to Igielskiego.

— Przyjdę do twojej żony, — odezwał się, — co do ciebie... pogadamy o tem, ale pamiętaj, że tylko ty siebie wyleczyć potrafisz.

Gdy przyszła kolej na Rodka, robotnik z butną miną wszedł do gabinetu.

— Panie doktorze, — mówił głośno, — młotem stłukłem sobie dwa palce u lewej ręki.

— I chętnie się uczył?

— Jej — jej! Boże drogi! Jak wlezie do książki, to jakby go kto przykleił, rady na niego nie było. Jak podrósł, oddałam go na pastucha do Żmijówki, cóżem to biedy z nim miała! Nieraz bywało, i bydło w szkodę wejdzie, i któreś się zabłąka, a on siedzi pod krzakiem i bajki czyta. Ale jakich to bajek nie umiał! Jak zacznie na wieczorynce opowiadać, to nietylko dziewczęta, ale i stare baby słuchają i dziwują się — dodała uśmiechnięta i z pewną dumą.

Lecz po chwilce dorzuciła zcicha w półsmutnie, w półgniewnie.

— Toż i Maryna słuchała — i nasłuchała się...

Ihnat bowiem miał w swojem życiu pewną romantyczną historję. We wsi był chłop dostatni, Iwan Stretunowicz, *odnodworzec* [1]). Miał kilku synów, a córki tylko dwie. Nie potrzebował więc brać do chaty *prymaków* [2]), ale owszem myślał je wydać nie byle jak. Dziewczęta były nieszpetne, a że i niebiedne, zalecających się było dużo. Młodsza, zdrowa, czerstwa śmieszka i przodownica w każdej robocie i zabawie, wyszła za mąż wcześnie i dobrze. Ale ze starszą bieda była niemała. Najprzód przebierała, od swatów na drugi koniec wsi uciekała, potem jakoś znudniała, zesmutniała, krasę dziewiczą prędko straciła, choroby się nawinęły, i z hożej niegdyś dziewki cień tylko pozostał — blady, tęskny jakiś cień... Wtedy i swaty już nie zaglądały, a od gniewu ojcowskiego w chacie wszystkim robiło się ciasno.

Po wsi błąkała się plotka, że przyczyną tej biedy był Ihnat Szczerbak. Czy istotnie z jego powodu Maryna swatów odprawiała, wątpić można, gdyż Ihnat o parę lat był od niej młodszy i w czasie, gdy najpiękniej kwitnęła, on jeszcze, jako wyrostek, bydło pasał w Żmijówce. Później atoli nie była niemą i głuchą na ciche hołdy Ihnata.

Dziewczęta z kuchni dziwy mi czasem opowiadały o tej tkliwej, mocnej, rozpacznej jakiejś miłości Ihnata. Z góry wiadomem było, że syn biednej chałupnicy, a do tego taki nieobrotny, bogatej dziewczyny nie otrzyma. Nie próbował nawet swatów posyłać. A tylko po wieczornicach i wieczorynkach, ukryty za drugimi, patrzał jej w oczy tak, że aż jego własne oczy łzami zachodziły; tylko milcząc drogę jej wszędy zachodził i spełniał tysiące usług, nie heroicznych, ale takich właśnie, które najlepiej jej dogadzały; jakby wrósł jej w duszę i wiedział, co jej trzeba. Przy każdej robocie, na każdej swej drodze, spotykała te przenikające, pełne skargi oczy ciemne, wpatrzone w nią ze smutkiem i miłością. Gdy świeżość i rumieńce wieśniacze znikły z policzków Maryny, gdy jakiś odcień tęsknoty powlókł pobladłą jej twarz, wtedy właśnie stała się dla Ihnata i najmilszą i najdroższą. Stałość jego uczucia, l cząca się już na lata, przemogła wreszcie jej chłód. Ma-

[1]) Odnodworcami nazywają się na Litwie chłopi prawosławni, pochodzący ze szlachty katolickiej. Po 63 roku zmuszeni siłą, częściej podstępem, przypisywali się do gminy, stawali się włościanami. Cenią jednak dotąd swoją przeszłość szlachecką.

[2]) Chłop, który nie bierze żony do swej chaty, a sam idzie na gospodarstwo żony, nazywa się »prymakiem«. Prymak jest uważany za niższego, niż gospodarz i wzięcie prymaka nie jest dobrym losem dla dziewczyny.

Doktór obejrzał zsiniałe, nabrzmiałe palce, opatrzył je, dał maści, a wreszcie zapytał o nazwisko nowego pacjenta.

— Wacław Rodek — z dumą odparł robotnik.

Igielski z uwagą na niego popatrzał. Więc to ów Rodek, jego wróg, pośrednia przyczyna sińców Wąsalowej.

Skrzyżowały się dwa spojrzenia: siwych, bystrych oczu Jana z ruchliwemi piwnemi oczami Rodka.

Robotnik założył ręce na piersiach i odezwał się, nie spuszczając oczu z lekarza:

— Panie doktorze, ja nie chcę leczenia za darmo. Każdy musi mieć wynagrodzenie za swoją pracę. Ja zarabiam do dwóch rubli dziennie i panu doktorowi tyle się należy. Jest nas tu przeszło czterdziestu dzisiaj, niech każdy da po dziesiątce, będzie dwa ruble. Ja też składam dziesięć groszy.

— A mnie potrzeba pięciu rubli dziennie, — odparł doktór spokojnie, — przyczem — tu odsunął pieniądz — nic nie biorę od moich chorych.

— W takim razie .. — zawahał się Rodek, ale jak gdyby zdjął go wstyd za własną nieśmiałość, dodał jeszcze głośniej, — w takim razie pan doktór żyje z cudzych pieniędzy.

— Tak jest.

Rodek nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

— Więc ja żegnam pana doktora, — odezwał się po chwili.

— Żegnam. A te dziesięć groszy możecie złożyć do puszki.

Podsunął mu zieloną puszkę blaszaną z napisem: »dla biednych«. Rodek przeczytał napis.

— Czy ja jestem bogaty — pierwszy biedny, to ja sam.

— A dlaczegóż chcieliście mi dawać pieniądze?

— Dawałem pieniądze, jako wynagrodzenie, a do puszki idzie jałmużna, odparł Rodek. Miałem piętnaście lat, kiedy mnie jeden mądry człowiek nauczył, że jałmużna jest szkodliwa.

— To prawda! — odrzekł doktór, — lepiej będzie na świecie, skoro nikt jałmużny nie zapo-

rzyć i tęsknić zaczęli oboje. Dla biednego Ihnata były to niewątpliwie najjaśniejsze dni w życiu, gdy tak gdzieś na sianokosie, na jakiem odleglejszem uroczysku, zdala od oczu ojcowskich mogli, pracując obok siebie, niejedną chwilkę wśród podleśnych cieni, wśród woni traw skoszonych przegwarzyć, przemarzyć.. A gdy ta sama praca, co ich łączyła, nieraz na długie, letnie dni rozdzielała, w wieczór za opłotkami, za sadem Stretunowicza, bieliło się coś w cieniu i szept cichy spływał w jedno ze szmerem gałązek wierzbowych, tych starych dwóch wierzb rozsochatych, co nad bagnistą łączką rosły w dole za chatami.

Zimą Stretunowicz wynajął się był rąbać i w trzy konie zwozić kłody z lasu, które żyd kupił u dziedzica; Ihnat wprosił się do niego na najemnika. Stretunowicz, chłop żwawy, nie lubił roboty Ihnata, przystał jednak, skuszony bajecznie niską ceną, jaką Ihnat za pracę swoją podawał.

Od rana do wieczora w różnych punktach boru rozlegały się ciężkie, miarowe uderzenia topora; to tu, to ówdzie z wielkim trzaskiem łamanej rdzeni, z ciężkim szumem gałęzi i spadających płacht śniegu usuwała się zwolna sosna półwieczna i rozsochatą głową padając na ziemię, przygniatała młode pokolenie na drodze jej upadku rosnące; echo szło po lesie i ziemia jęczała, a z drzew sąsiednich porywały się kawki i wrony, z trwogą w czarne uderzały skrzydła i kracząc w głąb uciekały.

Od wsi do boru z półtory wiorsty było zaledwie, można było donieść ciepłą strawę, i Maryna codzień w południe z obiadem w dwojakach biegła do ojca. Gdy stary jadło spożył, a odsapnął nieco, brał znów topór w potężne swe ręce i mocno a celnie raz po razu głęboko zacinał żywy pień sosny, aż drzewo jęczało, a żywica, niby krew, żywą strugą po korze płynęła. Mordując się, a pocąc, w huku swojej roboty nie słyszał i nie widział jak w sąsiednim gąszczu milkł nagle topór Ihnata i długa, zbyt długa nastawała tam cisza.

Zima przeszła i wiosna nastała, wyciągnęły sochy na pola, — potem brony wyruszyły; z obór dworskich liczne fornalki obórnik wywoziły, wioskowe baby i dziewczęta po polach go rozstrząsały — a zawsze, wszędzie, Maryna znalazła się obok Ihnata i byli wciąż tak nierozłączni dwoje, że ludzie nawet śmiać się z nich przestali i dokuczać Marynie, a pytać z urąganiem, rychło-li Ihnat swatów do niej przyszle? Zaniechano ich — tylko słońce wiosenne sypało na nich błogosławiące swe żary, tylko gąszcz leśny wabił wonią i chłódkiem, tylko w gaju nad zdrojem czeremchy wiły ślubne wieńce Marynie, i kukułka często tęskno kukała.

A gdy nadeszły Zielone Świątki, Maryna z przededrzwi chaty »Maju«[3]) nie uprzątnęła, ani go pod okap strzechy troskliwie od dżdżu nie schroniła, i w noc świętojańską, przy pierwszych gwiazdach, przy starodawnych pieśniach młodzieńców i dziewcząt, dziewicza jej brzóska na świętym stosie Kupały już nie spłonęła. .

Nagle w jesieni, jakby grom z jasnego nieba uderzył, przybyły do Iwanowej chaty swaty

[3]) Brzóski, w dzień Zielonych Świąt stawiane w podwórku i przededrzwiami chaty. Dziewczęta litewskie starannie »maj« przechowują, aby go później w wieczór Sobótek na stosie Kupały spalić.

trzebuje. Tymczasem jednak, jeżeli ktoś nie ma, ani chleba, ani pracy, trzeba mu dopomódz czy nie? Jałmużna bywa czasem złem koniecznem, panie Rodek.

— A jednak ja do puszki nie włożę dziesięciu groszy.

— Jak chcecie. Ja też ich dla siebie nic przyjmę.

— Mądrala! — mruczał Rodek, wychodząc od doktora. »Złe konieczne«... »panie Rodek«... ja mu też kiedy powiem: »panie Igielski«. Z cudzych pieniędzy żyje, burżua! Kpi sobie ze mnie, czy co?

Słuchacze Rodka przyzwyczaili go do atmosfery podziwu i poczucia własnej wyższości, u doktora stracił trochę pewności siebie i to bardzo go rozgniewało.

Doktora Jana też interesował nowy pacjent. Wiedział, ile złego sprawić może ten duch niespokojny, który w innych warunkach mógłby zapewne stać się pożyteczną siłą. Należało tylko rozszerzyć widnokrąg jego pojęć, zanim powstał w głowie tego człowieka chaos formuł, połapanych z różnych broszurek. Wysunięta, upór znamionująca broda Rodka, czaszka spiczasta w ciemieniu wraz z wygłaszanemi przezeń zdaniami, nasunęła doktorowi na myśl słowa Taine'a: *„il n'y a rien de pire, qu'une grande idée dans un cerveau étroit"*.

Spotkanie robotnika z doktorem wywołało jeszcze większą walkę.

Po stronie Jana stały wszystkie matki i żony, których rodziny ratował w chorobie; mężczyzn odciągał Rodek rozpuszczoną wieścią o rodzicach doktora, którzy zbójeckiemi sposobami zdobyli majątek; syn stara się wprawdzie błędy ich naprawić, ale tylko w części — bo właściwie powinien był całe mienie oddać społeczeństwu i żyć z własnej pracy. Leczy darmo — wielka rzecz! niby to łaskę robi, a właściwie ubliża godności tych, którzy wcale żadnej łaski nie potrzebują.

(C. d. n.). *Antonina Morzkowska.*

ze Żmijówki. Co za swaty — pożal się Boże! Stary Michałko, co już dwie żony pochował i dzieci większych i mniejszych miał mnóstwo. Nową gospodynię czekała ciężka praca od świtu do nocy bez wytchnienia, bez miłosierdzia, niesnaski i niechęć pasierbów, a w nagrodę pieszczoty lub pięść natrętnego starca. Maryna, gdy swatów przez okienko dostrzegła, jak trup zbielała, skoczyła do komory i na cały wieczór w niej się zaparła. A tymczasem ojciec wódkę ze swatami wypił i posag wyznaczył i za dwa tygodnie postanowił wesele. Daremnie Maryna ręce ojca łzami oblewała, daremnie błagała, by ją zaniechał, że na służbę stanie, że z oczu mu zejdzie — ciężka ręka Iwana, pod którą sosny w borze jęczały, na pochyloną postać córki bez ojcowskiej żałości razami spadała, i węgły chaty drżały, tak gromił niebaczne dziecko za młodość zmarnowaną, za cześć dziewiczą straconą.

Ihnat, mówią, w pierwszej chwili omal zmysłów nie postradał. Nie mógł przyjść do nich wprost, bo Iwan obiecał czaszkę mu rozwalić, jeśliby próg jego chaty przestąpił; więc od rana do nocy na wszystkich drogach czatował na starego, zanim wreszcie oko w oko z nim się nie spotkał. Prosił, przekładał, obiecywał, że żona głodu nie zazna, że gdzieś na stronie służbę sobie wynajdzie, wreszcie u nóg mu się włóczył, o Marynę błagając — stary zaciął się i wolał córkę zaprzepaścić na trud niepomierny i mękę, niż oddać ją temu, co stojąc tak nisko, śmiał mimo jego wiedzy jej dosiądz. Przez dwa tygodnie łzy nie przestawały płynąć po zbladłej twarzy Maryny, przez dwa tygodnie Ihnat, co mu się nigdy nie zdarzało, pił w karczmie jakby na zatracenie. A gdy Marynę z muzyką i śpiewami na ślub do cerkwi wieziono, stara Szczerbaczycha samotnie w chatce siedziała i płakała za synem, który Bóg wie, kędy wędrował.

W następnym roku na wiosnę, w długich moich wycieczkach po lasach i polach, natknęłam się raz z nienacka na dwoje ludzi. Na skręcie wiejskiej drogi zielonej, wąskiemi, głębokiemi koleinami w las biegnącej, w łagodnem złocie południowego słońca stali oboje wsparci o jakiś odłam nawpół rozwalonego płotu. Zbliżywszy się, poznałam Ihnata i Marynę. Maryna podbiegła do mnie z tą żywą radością, z jaką w dawnych miłych miejscach odnajduje się dawnych znanych ludzi i poczęła mnie wypytywać. Lecz gdy ja z kolei o losy jej pytać zaczęłam, spuściła przed chwilą ożywione oczy i twarz jej mgłą smutku się powlokła.

— Eh, paniczku, jakie tam moje życie. — powiedziała zcicha i westchnienie zwolna zapadłą pierś jej podniosło. Przeniosłam wzrok na Ihnata; on spoglądał na mnie swojem smutnem, upartem wejrzeniem i bez słów mówił oczami wyraźnie:

— Ot widzicie, pani, co z nami zrobili...

Pośpieszyłam zmienić rozmowę. Dowiedziałam się, że Maryna przyszła odwiedzić rodzinę, a teraz wraca i spieszyć się musi, bo do Żmijówki dość daleko i dzieci czekając na nią, płaczą głodne.

— A może masz już swoje? — zagadnęłam.

Odparła żywo:

— O nie, nie mam! — I jednocześnie oczy jej podniosły się na Ihnata i na krótką chwilę spojrzenia ich się zbiegły. Ile może być żalu, ile jęku bez słów, w jednem takiem przelotnem spojrzeniu!

— Nie poradzicie już na to, co się stało i lepiej byłoby, abyście się nie widywali. Na nic się nie zda w starych smutkach grzebać — perswadowałam im — Ihnat powinien też o sobie pomyśleć, źle chłopu tak żyć jednemu.

Ihnat popatrzał na mnie w milczeniu i cichym poważnym głosem przemówił:

— Dobrze żonę mieć wtedy, kiedy jest miła. A od niemiłej strzeż Boże. Niemiłą można łatwo skrzywdzić, i uderzyć, a żony bić nie trzeba. Jabym nigdy swojej żony nie bił, bo byłaby dla mnie to samo, co matka, nawet więcej jak matka. Jabym jej nie dał nad siły pracować, jabym ją strzegł, jabym nawet jej słuchał, bo jakiż lepszy przyjaciel, jak nie żona, i kto byłby mnie milszym?

Zaczął mówić do mnie, ale skoro wymówił, że żona więcej, jak matka, to reszta wszystko należało już do Maryny; na nią zwrócił ciemne swe oczy, ją obejmował smutnem i tkliwem wejrzeniem, gdy stała tak przed nim przyparta do płotu, z pochyloną głową, znękana, skrzywdzona i taka już skazana, jakby jakaś wszechmocna a bezlitośna ręka gięła ją ku ziemi. I było znać po nim, że duszę by oddał, gdyby ją tylko módz jeszcze ocalić.

Takim był Ihnat. Niedojda, mówili, niezdara. Może. Ani zarobić, ani zebrać jak inny, sprytniejszy, nie umiał. Nie liczył się we wsi ani za gospodarza, ani za robotnika — tak jak nie liczył się ten jakiś ogień dziwny, co musiał gdzieś w piersiach mu płonąć, skoro od czasu do czasu jasnym wybuchał płomieniem. Ludzkość, z takich urn, we wnętrzu ogień chroniących, przy sprzyjających okolicznościach robi płomienne światła swoje, robi wieszczów, kapłanów sztuki lub idei, albo cichych pracowników na niwie myśli — lecz na nieszczęsnej głowie i piersiach Ihnata leżał gruby pokład wioskowej ciemnoty, wioskowej nędzy, wioskowej anti-kultury a nie było ręki, którаby ten pokład poruszyć i ducha z pod niego dobyć chciała.

. . . .

We dwa dni po owej burzy, gdy wicher uległ się, a wiadomem było, że car przejechał, wybrałam się ponownie do drogi.

Po wysokich, puszystych śniegach niosły mię lekkie saneczki w jednego konia, bo droga była zbyt wąska i mało jeszcze utarta. Przebyliśmy las milczący i zadumany, jakby chmurzący się jeszcze pod grubemi płachtami śniegu, któremi sosny ramiona i głowy swoje pokryły. Wyjechaliśmy na szerokie pola wioskowe. Z pierwszego wejrzenia zdało się mnie, jakbyśmy się znaleźli w obcej okolicy, tak dalece znane to miejsce miało wygląd odmienny. Na prawo, na lewo wznosiły się jakieś wzgórki, których pierwej nie było; pojedyńcze krzewy, drobne zagajenia albo zniknęły zupełnie, albo rozszerzyły się i stały kosmate, białe. Wzrokiem mimowoli poszukałem miejsca, gdzie wówczas płonęło ognisko Ihnata. Rzecz dziwna, zamiast spodziewanych zgliszcz, co najwyżej, dostrzegłam jakiś szeroki punkt szary, jakąś plamę, która w miarę jak zbliżaliśmy się, wzrastała i dawała coraz wyraźniejsze kształty, ścieśnionej nieruchomo gromadki ludzi.

— Co to być może? — spytałam furmana.

— »Nie wiedaju« odparł głosem, zaciekawionym i niespokojnym i raźniej zaciął konia.

Zbliżaliśmy się szybko ku plantom kolejowym. Wyraźnie już dostrzegałam czterech czy pięciu chłopów, w półkole stojących; po chwili widziałam, że otaczają jakiś przedmiot rozciągnięty na ziemi.

— »Boh jeho, znaje szto tam zrabiłoś« — ozwał się furman z natężonem zalęknieniem.

Tu droga nieco w bok się skręcała, sanie półkrąg zatoczyły i nagle znaleźliśmy się prosto twarzą przed półkolem stojących ludzi.

Na parę kroków przed nimi, rozciągnięty na śniegu, z głową w tył zarzuconą leżał człowiek.

(Dok. nast.). *W. Dalecka.*



Błędy językowe.

3) Nie mówmy *męszać* i *męszkać*, lecz *mieszać* i *mieszkać*.

4) Nie mówmy *jak*, zamiast *niż*, gdy wyrażamy *różnicę*, ale nie *jednostajność*. Więc nie mówmy: »Dzień dłuższy *jak* wszystkie inne«. »Dom ten stoi bliżej *jak* tamto« i t. p., ale: »Dzień dłuższy *niż* wszystkie inne«; albo: »dłuższy *od* innych«, »bliżej *od* innych«. Coś może być »równie długiem *jak*«, albo »równie bliskiem *jak*«, lecz nigdy »bliższem *jak*«, albo »dłuższem *jak*«.

5) Nie mówi się *kwandrans*, *orginalny*, *orginał*, lecz ***kwadrans***, ***oryginalny***, ***oryginał***.

Wykształcenie wyższe w Europie.

(Ilość uniwersytetów i ich słuchaczy w stosunku do cyfry zaludnienia najważniejszych państw cywilizowanych Europy).

Za byłego ministerstwa Giolittiego we Włoszech, poruszano kilka razy myśl zniesienia kilku uniwersytetów, za mało licznych względnie do zaludnienia kraju. Ówczesny minister oświecenia, Martini, ogłosił w tym celu w *Antologia Nuova* artykuł i porównawcze zestawienie statystyczne o stosunku pomiędzy liczbą uniwersytetów a ludnością w krajach europejskich. Wykaz ten opracowany był na podstawie danych roku 1892/3. Przy tej sposobności dał autor zestawienia poniekąd i obraz stosunków kulturalnych, cyfra bowiem ogólna kandydatów wykształcenia wyższego, daje także miarę stopnia cywilizacji i odczuwanej potrzeby wyższych zakładów naukowych.

Najsmutniej przedstawiają się pod tym względem stosunki w państwie rosyjskiem, gdzie j e d e n uniwersytet przypada na 12,300.000 ludności. — Co do wartości, mimo bardzo korzystnej cyfry uniwersytetów i słuchaczy, stawi Martini obok Rosji zaraz Hiszpanję. Pomimo bowiem, iż Hiszpanja na 17,565.682 głów posiada 10 uniwersytetów i pomimo, że j e d e n uniwersytet przypada na 1,756.563 głów — w kraju tym atoli zdziałały wpływy ultramontańskie taki zastój, że uniwersytety pozostały na tej samej stopie, na jakiej widział je wiek 15 i 16-ty — słowem o jakimkolwiek postępie nikomu się tam nie śniło.

Stosunek liczby mieszkańców do uniwersytetów w państwach europejskich, tak się przedstawia w cyfrach:

w państwie	na mieszkańców w ilości	uniwersytetów	jeden uniw. na mieszk.
w Anglji	29,001.018	7	4,143.002
„ Austro-Węgrzech	41,358.886	11	3,759.888
we Francji	38,343.192	15	2,556.138
w Niemczech	49,428.470	20	2,471.423
we Włoszech	30,158.408	17	1,774.024
	z uniw. wolnymi	21	1.436.114

We Włoszech przypada zatem już na 1,774.024, a względnie na 1,436.114 mieszkańców jeden uniwersytet. Kraj więc ten uginający się pod ciężarem stosunków finansowych, mógłby rzeczywiście bez uszczerbku zrezygnować z kilku zakładów wyższych, tembardziej, że w niektórych, jak zobaczymy dalej, schodzi cyfra słuchaczy do 74 lub nie sięga 100.

Podobne stosunki wykazują tylko niektóre mniejsze kraje i państwa europejskie, gdzie atoli zamożność finansowa nie wchodzi w grę. I tak Szwajcarja na $3^1/_4$ miljona ludności posiada aż

6 uniwersytetów; Szkocja na 4 miljony 4 uniwersytety (oprócz liceum w Dundae); Belgja na 6 miljonów mieszk. cztery uniwersytety i Irlandja na 5 miljonów 3 uniwersytety.

W innych krajach przypada jeden uniwersytet:

	mieszkańców
w Szwecji i Norwegji	1,750.000
„ Danji	2,100.000
„ Serbji	2,100.000
„ Rumunji	2,800.000
„ Grecji	2,800.000
„ Bułgarji	3,200.000
„ Portugalji	4,800.000

Bardziej atoli zajmującym jest stosunek słuchaczy uniwersytetów do ogólnej cyfry ludności pojedyńczych krajów europejskich. Z przeglądu bowiem tego wytworzyć sobie zdołamy cyfrowy obraz cywilizacyjnego rozwoju państw i krajów. Pogląd ten może być jedynie o tyle niedokładny, iż obejmuje tylko cyfry słuchaczy uniwersytetów z pominięciem innych zakładów, jak politechniki, akademje rolnicze i handlowe. W wykazach tych nadto zaliczeni są wogóle słuchacze bez odróżnienia obcych, to jest cudzoziemców, studjujących np. w Szwajcarji, lub Francuzów we Włoszech, Niemców w Austrji i na odwrót Autor mówi o wszystkich uniwersytetach. europejskich, a w ten sposób wyrównywa się cyfra ogólna, która stanowi o stopniu rozwoju kulturalnego.

Z obrachunku tego wyklucza Martini ponownie Rosję i Hiszpanję. Pierwszą z powodu, iż olbrzymie państwo carów nie wytrzymuje nawet przybliżonego porównania z państwami cywilizowanemi Europy, a Hiszpanję z przyczyn, już wyżej wzmiankowanych.

W obliczeniu przyjął autor system podawania ilości słuchaczy wszystkich, tak zwyczajnych, jak nadzwyczajnych, wychodząc z tego punktu widzenia, iż ktokolwiek został członkiem wyższego zakładu naukowego, złożył dowód poczucia jego potrzeby.

Pod względem pewnej ilości danej, na którą przypada jeden słuchacz uniwersytetu, przedstawia się najkorzystniej stosunek ten w Anglji.

Tam zresztą, gdzie powszechnem hasłem jest praca i obowiązek, a jedyną etyką: samopomoc, oszczędność, charakter i wytrwałość, ludność cała chce wiedzieć i wie o wszelkich zdobyczach naukowych, bo mężowie nauki zamiast legend i bajek starają się w popularnych rozprawach podawać przy każdym krótkim życiorysie ludzi nauki lub wynalazców, także zwięzłe wyjaśnienie owych nauk i dróg, któremi zwycięzcy losu doszli przez oświatę i wytrwałość do rezultatów, zbogacających naród cały.

W Anglji tedy znajdujemy największy zastęp ludzi, kończących studja uniwersyteckie, jak przekonywa zestawienie następujące z r. 1892/3.

w uniwersytecie i t. z. Colleges	słuchaczów
Oxford	3.197
Cambridge	2.909
Manchester-Liverpool-Leeds	898
Durham	400
Nottingham College	1.902
Londyn Univ. College	1.500
Birmingham College	700
Bristol College	482
Aberystwyth Coll.	280
Newcastle „	264
Sheffield „	211
Cardiff „	170
Lampeter „	135
Bangor „	130
Doliczywszy kandydatów University of London	6.000
Ogółem	19.178

to znaczy, że przy 29 000.000 mieszkańców przypada w Angłji jeden słuchucz uniwersytetu na 1.512 mieszkańców.

Po Anglji zajmują Niemcy najpierwszą pozycję, a w Niemczech uniwersytety berliński, lipski i monachijski. W Berlinie było w r, 1892 do 7771, słuchacz w Lipsku 3518, w Monachium 3376. — Ogólna cyfra słuchaczy 22 uniwersytetów (już ze strasburskim) wynosiła 31.331.

Niemcy zatem z ludnością 49,500.000 miały na 1.580 mieszkańców jednego słuchacza uniwersytetu.

W tym samym okresie trzecie miejsce zajmuje Francja z ogółem słuchaczy 22.823, a w tej liczbie Paryż z najliczniejszym zastępem 10.164 Przy 38,400.000 mieszkańców przypada jeden słuchacz na 1.683.

Austro-Węgry z powodu różnorodności żywiołów i odmiennych stosunków w prowincjach, a także niejednakiej miary rozwoju, przedstawiają także niestosunkowo wielkie różnice, dlatego przytaczamy dla jasności całą tablicę cyfrową, z której wynikają proporcje i liczby rozłożone na Przedlitawię, jej niektóre prowincje i osobno na Węgry z ich krajami należącemi do korony św. Szczepana.

I tak w Austrji i prowincjach przedlitawskich (zawsze r. 1892/3).

uniwersytet	miał słuchaczy
w Wiedniu	4.904
„ Pradze – Czechów	2.733
„ Pradze – Niemców	1.351
„ Grazu	1.349
„ Krakowie	1.242
we Lwowie	1.074
w Insbruku	882
„ Czerniowcach	281
„ Ołomuńcu (fakul. teologiczny)	238
„ Salzburgu	77
„ Wiedniu teologów ewangel.	31
Ogółem	14.162

W Węgrzech.

uniwersytet	słuchaczy
Budapesteński . . . . . . , . .	3.776
w Kołoszwarze	624
„ Zagrzebiu	410
Ogółem	4.710

Zanim pójdziemy dalej, warto przy tej sposobności zwrócić uwagę, jak wygląda owa w swoim czasie okrzyczana »hiperprodukcja« inteligencji w Galicji w porównaniu z słabszą liczebnie ludnością Czech. Słuchaczy czeskich było 2.733, a w Galicji i na obu uniwersytetach krakowskim i lwowskim razem 2.316, czyli w uniwersytecte praskim więcej o 417 słuchaczy, która to cyfra starczyłaby sama na zapełnienie jeszcze jednego, samoistnego uniwersytetu.

Wobec 41,300.000 mieszkańców Austro-Węgier przypada jeden słuchacz na 2.194 mieszkańców; w Austrji samej bez prowincji przedlitawskich jeden na 1.722 mieszkańców; w Węgrzech zaś jeden na 3609 mieszkańców.

We Włoszech ogólna cyfra słuchaczy wynosiła w tym samym okresie 17.196, czyli wobec 30,200.000 mieszkańców przypadał jeden słuchacz na 1756 mieszkańców.

Z ogólnego zestawienia zyskamy przegląd następujący: oto wypadnie jeden słuchacz uniwersytetu

w Anglji	na	mieszkańców	1.512
„ Niemczech jeden	„	„	1.580
we Francji „	„	„	1.683
w Austrji niższej i wyższej jeden	„	„	1.722
we Włoszech „	„	„	1.756
w Przedlitawji „	„	„	2.194
„ Węgrzech „	„	„	3.609

Cyfry powyższe są same przez się najodpowiedniejszą skalą potrzeb wyższego wykształcenia zarówno w największych, jak i w najmniejszych państwach Europy.

T. Sz.

Rozbiory i sprawozdania.

»Pneumatyk nr. 301«. — »Nowele i szkice Zygmunta Niedźwieckiego«. Wydanie drugie. Nakład W. Poturalskiego w Podgórzu. Stronic numerowanych 174.

P. Zygmunt Niedźwiecki należy do młodych autorów, którzy nie wahają się, szukając nowych dróg dla swego talentu, odsunąć zasłonę ze zjawisk, uważanych dotychczas za niestosowne do celów artystycznych. Tylko młodość może mieć odwagę, posuniętą do tego stopnia, by dla prawdy socjologicznej przedstawić zohydzone posążki Westy na ołtarzu, gdzie płonąć zwykło ognisko domowe, symbol czci i honoru rodzinnego. P. Niedźwiecki nie lubuje się przecie w obrazach moralnej nędzy. Zupełnie serjo, choć na pozór lekko i swobodnie, opisuje najdrażliwsze sceny tak pięknie i po mistrzowsku, że czytelnik, oczarowany niespodziewanie pięknym zwrotem językowym, zapomina, że autor przedstawia... brudy społeczne. — Czytając nowele p. Niedźwieckiego uważnie i bez uprzedzenia, nie trudno poznać, że poza fabułą, która trąci zapachem owocu zakazanego poza frazesami, subtelnie wykończonemi, stoi autor-socjolog. P. Niedźwiecki chciał także przypomnieć czytelnikom, że silne perfumy i esencje wyrabiają się niekiedy i z niezbyt wonnych materjałów i że mimo to wielu używa perfum, nie troszcząc się o to, z jakich składają się substancji.

Nowele p. Niedźwieckiego doczekały się drugiego nakładu, a więc mają dużo czytelników i chętnego nakładcę. Okoliczność ta, może wpłynąć na dalszą twórczość autora. Niech-że jednak nie idzie w ślady pewnego utalentowanego malarza, który namalowawszy raz grupę małp i zyskawszy za nie prócz wysokiego honorarjum, uznanie krytyki, malował odtąd same małpy. Jednostronność czyni ujmę największemu talentowi a szkoda, by taki talent, jak p. Niedźwieckiego, zmanjerował się w ten sposób.

Nie wdajemy się w szczegółowy rozbiór nowel i szkiców, zaznaczamy tylko, że w tych szkicach, rzuconych na papier lekko, z rutyną wytrawnego pisarza, znać doświadczenie życia, które dla autora nie musi być wesołem i lekkiem, inaczej nie malowałby ciągle... samych małp.

A. Kallas.

Wiadomości bibljograficzne.

»*Cel i zadania wychowawcze*«. Szkice pedagogiczne. *Stanisław Karpowicz*. — „Czem jest wychowanie ze stanowiska wiedzy spółczesnej. — Cel i zadania wychowawcze wobec ewolucji społecznej. — Znajomość otoczenia. — Znajomość życia. — Poprawa stosunków życia. — A. Bezinteresowność w nauczaniu. — B. Uprawa uczuć altruistycznych. — C. Idea solidarności — Nauki przyrodnicze w życiu i wychowaniu. — Wola i jej wykształcenie. — Naśladownictwo. — Rozwój idei". — Skład główny w księgarni Borkowskiego i Karpowicza. Warszawa, 1897.

„*Encyklopedja ilustrowana* wiadomości pożytecznych". Zeszyt 14. Nakładem Michała Arcta w Warszawie. — Pożyteczne to wydawnictwo dobiega już do końca lit. *K.* i zawiera dotychczas 1.166 starannie wykonanych ilustracji objaśniających.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie